



Mirosław Derecki (md)

EKRAN I WIDZ: „ŚMIERĆ PREZYDENTA”

Jerzy Kawalerowicz zrealizował film wybitny. Po siedmiu latach milczenia, kiedy zaczynało już oceniać jego dorobek w aspekcie niemal historycznym, twórca „Celulozy”, „Matki Joanny od Aniołów” i „Faraona” przypomniał nagle o swoim miejscu w ścisłej czołówce polskich reżyserów. „Śmierć prezydenta”, film o zabójstwie pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej, Gabriela Narutowicza, jest nie tylko sukcesem natury czysto artystycznej, ale i dziełem o poważnym walorze historycznym. To w sposób dobitny i godny, przy pomocy klarownego języka wyłożony pogląd na temat zdarzeń i problemów, na temat konfliktów, trudności i niebezpieczeństw, wśród których zaczynała żeglować młoda republika.

Zadanie miał Kawalerowicz niełatwe. Tkanka faktograficzna, na której opiera się film, sprowadza się wszak zaledwie do ośmiu dni - od 9 grudnia 1922 r. (kiedy w niezwykle burzliwej atmosferze starć w łonie Zgromadzenia Narodowego dotychczasowy minister spraw zagranicznych, Gabriel Narutowicz, został wybrany prezydentem), do 16 grudnia, gdy zostaje on w gmachu warszawskiej Zachęty zastrzelony przez malarza Eligiusza Niewiadomskiego. Większa część filmu dzieje się na sali i we wnętrzach sejmowych, w dniu wyborów, dniu zacieklej walki stronnictw politycznych o przeforsowanie swoich kandydatów. Przed kamerą ścierają się racje i poglądy liderów PPS-u i stronnictw chłopskich z Wincentym Witosem i Stanisławem Thuguttem na czele, przedstawiciele mniejszości narodowych i komunistów z silnym obozem Chrześcijańsko Narodowym, z przedstawicielami obszarników, konserwatywnej burżuazji, klerykałów. To w końcu zwycięstwo postępowych sił narodu zjednoczonych w walce z prawicą, ale zarazem wynik kompromisu. Bo wszak Narutowicz, człowiek szlachetny i godny szacunku, wybitny inżynier, a ostatnio wysoki urzędnik państwowy, nie był związany z żadnym ugrupowaniem politycznym: zwyciężył w głosowaniu tylko na zasadzie znalezienia wyjścia najbardziej optymalnego ze wszystkich możliwych.

Otóż taka właśnie sytuacja (pełna wprawdzie dramatycznych spięć ale rozciągniętych w czasie i z natury rzeczy i miejsca akcji - dość statyczna) może na ekranie zamienić się w obszar bezmiernej nudy, podbudowanej słusznym skądinąd i nawet interesującym z

publicystycznego punktu widzenia - słowolejstwem. Miara reżysera i scenarzysty (w tym wypadku - Bolesława Michałka) ujawnia się dopiero w osiągnięciu takiej zwięzłości i klarowności wywodu słownego, w stworzeniu takiej wewnętrznej dramaturgii sytuacji, że widz zapomina, iż siedzi w sali kinowej, a zdaje się uczestniczyć osobiście w obradach i naradach. Sprzyja zresztą jeszcze takiemu odczuciu prowadzona doskonale przez Jerzego Kawalerowicza kamera filmowa, prezentująca jak gdyby punkt widzenia bezpośredniego uczestnika wydarzeń. Pełno tutaj ostrych szwenków (szybkich zmian kierunku pracy kamery), szybkich panoram i travellinków. Ruchawe oko kamery przerzuca się nagle z postaci na postać, wystawia z tłumu poszczególne twarze, grupy postaci, gesty, miesza plany, wyostrza spojrzenie zarówno w sposób zamierzony jak i przypadkowy. A wszystko to z niemal matematyczną dokładnością i żelazną konsekwencją. Ale oto i sam Gabriel Narutowicz – z ogromną kulturą zagrany przez Zdzisława Mrożewskiego – niemal klasyczny bohater tragiczny: człowiek który nie chciał być prezydentem który zarazem, w poczuciu obywatelskiej i patriotycznej odpowiedzialności, musiał przyjąć wkładany mu na barki ciężar. Odmowa spowodowałaby oddanie urzędu prezydenta w ręce hrabiego Maurycego Zamoyskiego – rzecznika konserwatyzmu.

Wreszcie – postać zabójcy prezydenta Eligiusza Niewiadomskiego, maniaka i fanatyka nienawidzącego sił postępowych, zamachowca traktującego swój czyn jako wyraz procesu politycznego – w doskonałej interpretacji: Marka Walczewskiego. Twarz Niewiadomskiego składającego zeznania podczas wytoczonego mu procesu towarzyszy rozwijającej się coraz bardziej akcji filmu. „Wciągnana” przez reżysera w tok następujących po sobie zdarzeń – stanowi jakoby dodatkowy, odautorski komentarz do problemów poglądów, zapatrywań i fascynacji politycznych pewnych kręgów naszego ówczesnego społeczeństwa, z fascynacją faszyzmem włącznie.

Ramy tego felietonu pozwalają, niestety, tylko na zasygnalizowanie niektórych problemów – zarówno artystycznych jak i politycznych, zawartych w „Śmierci prezydenta”. Na wyrażenie nadziei, że wokół tego filmu zostanie stworzona odpowiednia reklama i odpowiednia atmosfera inspirująca szeroką publiczność do obejrzenia dzieła Jerzego Kawalerowicza. Pozostaje też autorowi na koniec wyrażenie poglądu, że wobec „Śmierci prezydenta” nie może przejść obojętnie żaden poważnie myślący obywatel naszego kraju.